

Łukasz Nicpan

Kawalerka z witrażem



Laubzega

Dostałem ją któregoś roku pod choinkę. Wchodziła w skład zestawu narzędzi małego majsterkowicza. Oprócz niej w skrzyneczce znalazłem hebelek, imadefko i młoteczek z czerwoną stalową główką. Najcenniejsza okazała się laubzega. To dzięki niej po raz pierwszy doświadczyłem uczucia wszechmocy.

W wąskiej przegródce leżał pęczek cienkich, opalizujących błękitnie brzeszczotów. Ponadto w skład narzędzi małego stolarza wchodziły prostokątne płyty sklejkowe, spłaszczony ołówek i kilka papierowych szablonów, które można było przerysowywać na sklejce i potem wycinać laubzegą. Pamiętam domek z kominem i kartoflanym kłębem dymu. To były szablony do ćwiczeń, stolarskie wprawki.

Fascynujące było co innego. Odkrycie, że mogę narysować na sklejce dowolny kształt i precyzyjnie go wyciąć. Elipsy, koła, obrys własnej lewej dłoni z rozstawionymi palcami (w prawej trzymałem ołówek), przerysowane z atlasu kształty kontynentów (zacząłem od najłatwiejszego, od Afryki), rzutowany promieniami słońca cień gruszki, którą udało mi się postawić szerokim zadem na stole. Z tego właśnie powodu, że mogę wyciąć wszystko, co sobie pomyślę, poczułem się wszechmocny. Mogłem nawet wycinać coś, czego nie było, kształt powstający w miarę wycinania, nieokreślony, dowolnie zawiły, fantastyczny.

Brzesczociki czasem pękały. Przede wszystkim dlatego, że bardzo się podczas wycinania rozgrzewały, do czerwoności. Sklejka zaczynała kopcić i pachnieć spalenizną. W takich momentach przerywałem piłowanie, lecz nie wypuszczałem laubzegi z ręki. Gdybym to zrobił, metalowy kabłąk skręciłby brzeszczot i przerwał bezpowrotnie. Liczba brzesczocików w przegródce była ograniczona, bez nich utraciłbym świeżo odkryte poczucie wszechmocy.

Do dziś pamiętam, jakie było żywe. Dorównywało jedynie pewności, że umiejętność latania, jak ptaki, mewy, jest tylko kwestią odpowiedniego nastawienia, nawet nie woli. Była czymś tak naturalnym. Zbiegałem z morskiej wydmy, gdziekolwiek nad Bałtykiem, i najzwyczajniej unosiłem się w powietrzu.

Leciałem wzdłuż brzegu, nad parasolami, nad wiklinowymi koszami, nad plażowiczami na kocach, nad grającymi w siatkówkę. Nie dziwiłem się temu, że lecę, dziwiłem się tylko – dobrze to pamiętam – że inni nie latają, tylko leżą tam w dole, smażą się w słońcu, w najlepszym razie unoszą się w morzu.

Dziwiłem się także sobie, że tak późno odkryłem ten psychiczny pstryczek, którego przekręcenie w głowie umożliwiło utrzymywanie się w powietrzu i swobodny dalekosiężny lot.

Leciałem nad plażą, nad morzem i wręcz nie mogłem – tam we śnie – wyjść ze zdumienia, jak można nie umieć latać. To było takie łatwe. Wręcz dziecinnie proste.

Pionier

Tak się nazywał pierwszy polski odbiornik radiowy skonstruowany po wojnie. Mój równolatek. W roku 1956 mieliśmy obaj po siedem lat.

Stał mi się bardzo bliski. Mogłem godzinami gładzić jego gładką bakelitową obudowę w kolorze ciemnego orzecha. Godzinami wpatrywać się w kwadratową, o zaokrąglonych rogach, podświetlaną tarczę z ruchomą wskazówką nie grubszą od włosa. Promieniście ułożone nazwy europejskich stolic i polskich największych miast świeciły na zielono. Pierwszy w naszej rodzinie radioodbiernik zajmował miejsce na osobnym stoliku nakrytym zrobioną na drutach serwetką. Przy stoliku stał wąski fotel z opływowymi poręczami i bordową tapicerką. Klęcznik do moich godzinek.

Prawie tak samo jak bliskość stolic, których nazwy układały się wachlarzowato na podświetlonej szybce, fascynowały mnie okrągłe i eliptyczne jasne plamki, rozsypane na ścianie za plecami radia. Najjaśniejsze, najbardziej przemawiające do wyobraźni, stawały się w ciemności, gdy przez narożne okno wpadało do pokoju tylko światło księżycy i żółty, mętny blask żyrandola zza firanki w oknie sąsiadów, wychodzącym na to samo podwórko studnię.

Moje pierwsze radio przeraziło mnie tylko raz. Właśnie tamtego roku, na jesieni.

Był późny wieczór. Na fotelu z bordową tapicerką siedział dziadek z uchem przy głośniku. Naprzeciwno

niego na krześle babka. Przyszli do nas pieszo, lecz jakby nie z wizytą. Rodzice siedzieli obok, też blisko radia. Wszyscy dziwnie ku sobie pochyleni, ich głowy niemal się stykały. W łóżeczku spała moja dwuletnia siostra.

Spod zakrywającej głośnik szmatki dolatywały strzały, wybuchy, krzyki. Czasem wzburzone głosy, słowa w nieznanym języku. A potem żałobna muzyka.

Nie pytałem o wyjaśnienie. Kiedy wcześniej zapytałem, matka uspokoiła mnie nieszczerze i mocno przytuliła. Nie bój się, synku, nam nic nie grozi. Ojciec machnął tylko niecierpliwie ręką. Babka miała łzy w oczach. Dziadek milczał surowo, jakbym coś zbroił lub niewłaściwie zachował się przy stole.

Tamtego jesiennego wieczoru po raz pierwszy w życiu przestraszyłem się radia. Naszego lampowego, nagrzejającego się tak przytulnie Pioniera w bakelitowej obudowie, który wyświeślał na ścianie jasne owalne plamki.

Krótko, po męsku

– Jak kawalera ostrzyc?

W latach mojego dzieciństwa i wczesnej młodości, czyli w połowie dwudziestego wieku, z takim zawsze pytaniem zwracał się do mnie fryzjer, gdy już okrył mnie białą płachtą i związał tasiemki na moim karku.

Oczy miałem jeszcze otwarte. Patrzyłem w duże lustro, w którym siedziałem owinięty po szyję w biały całun, a za mną stał przylizany – nieodmiennie przylizany, z przedziałkiem z boku głowy – fryzjer w białym kitlu i trzymał u mego ucha stalowe nożyczki, a przy drugim uchu metalowy grzebień.

– Krótko, po męsku – odpowiadałem i dopiero wtedy zamykałem oczy.

I zaczynała się msza. Uroczyste zespolenie z dorosłym mężczyzną, którym kiedyś będę. Rytuał pasowania. Obrzęd inicjacji.

Rozszczękiwały się nożyczki, zęby metalowego grzebienia szybkimi nawrotami zaczynały mi drapać czaszkę. Zapadałem w stan nirwany, choć jeszcze nie znałem tego słowa ani pojęcia. Nie wiedząc, z kim się jednoczę, jednoczyłem się z Buddą, bo i on był dorosłym mężczyzną, ale przede wszystkim scalałem się z mężczyzną, którym kiedyś będę.

To były rozkoszne, niezapomniane chwile. Pod moimi zamkniętymi powiekami wychodzili z saloonu na piaszczystą ulicę kowboje w kapeluszach i frędzlistych